

## Ósmy, czyli jeszcze niedokończony życiorys

Przełożyła Kamila Szymańska

Pod wieczór zameldowałem się w samodzielnej jednostce 59. Batalionu Pomocniczo-Technicznego<sup>1</sup> w Teplej koło Mariańskich Łaźni; czarni przebudowywali stawny niegdyś klasztor premonstratensów na koszary dla jakiegoś zmotoryzowanego pułku z Loun czy ze Slanego.

Przy przebudowie klasztoru nie byłem do niczego potrzebny.

Czarni potrzebowali przede wszystkim murarzy, hydraulików i elektryków. W żadnym z czterech plutonów roboczych (mówili o sobie czołówka) – wszystkie cztery bardzo dobrze zarabiali – mnie nie chcieli.

Dowódca samodzielnej jednostki, starszy sierżant Jan Kreczmar, komunista i wiceprzewodniczący organizacji komunistycznej w 59. Batalionie, nie interesował się moją reedukacją; zrozumiałem to od razu pierwszego wieczoru w Teplej, kiedy to musiałem wziąć udział w szkoleniu politycznym.

Przez półtorej godziny starszy sierżant Kreczmar, marksista-leninista, głądził o wykorzystywaniu ludu pracującego w kapitalizmie i przypomniał czterdziestu czarnym baronom, jakie mają szczęście, że mogą pracować w ustroju socjalistycznym, który pasożytniczo na zyskach nie pochodzących z pracy raz na zawsze zlikwidował.

Czarny żołnierz schylił się do mojego ucha.

– Znowu pieprzy! Sam gówno robi, a za naszą harówkę bierze premie!

W pewien piątek, przed końcem popołudniowej zmiany, w ogromnej mieszarce – do moich obowiązków należało smarowanie tej maszyny – pękł wąż doprowadzający olej hydrauliczny do cylindra; gorący olej nie poparzył mnie, ale zniszczył mój roboczy uniform. Bałem się, że towarzysz starszy sierżant Kreczmar, w cywilu podobno mistrz maszynowy, potraktuje ten przewód jako sabotaż, ale on tylko obszedł mieszarkę, splunął i powiedział w dupę kopane, że wybrakowane węże nie wytrzymują ciśnienia oleju hydraulicznego, zresztą ten olej to taka sama tandeta, ale co robić, psiakrew, węźcie, szeregowy Filip, nocną szychtę. Wypuść resztki starego oleju z cylindrów, a my postaramy się do rana ten pęknięty wąż jakoś załatać.

– A ten stary olej gdzie dać, towarzyszu starszy sierżancie?

– Do studni na dziedzińcu przed kościołem. Ale wbij sobie do głowy: to nie jest rozkaz! Bo gdzie tu indziej dać ten szmelc? Zresztą, studnia jest już prawie pełna od tego

<sup>1</sup> *Pomocné Technické Prapory (PTP)* jednostki wojskowe Czechosłowackiej Armii Ludowej służące internowaniu lub resocjalizacji osób niewygodnych politycznie z punktu widzenia reżimu komunistycznego. Osoby te stanowiły tanią siłę roboczą, wykonując prace w kopalniach, na budowach obiektów cywilnych i wojskowych, w kamieniołomach, i często nazywane były „czarnymi baronami” (przyp. tłum.).

zużytego oleju. Chłopaki z warsztatu naprawczego go tam wlewają. Jak cię czerwoni złapią z tym olejem koło studni, to sam za to odpowiadasz. Będziesz miał prokuratora na karku i beknieś też za nich przez tę śmierdzącą studnię. Rozumiemy się?

Do północy, do mającej prawie osiemset lat i podobno sto trzydzieści metrów głębokości studni usytuowanej na dziedzińcu klasztornym, z której od 1193 do nocy 13 kwietnia 1950 roku, kiedy to funkcjonariusze bezpieki pozamykali premonstratensów jako elementy wyrotowe i agentów Watykanu, czerpali i pili wodę zakonnicy, łącznie z założycielem klasztoru, błogostawionym Hroznatą, wlałem z dziesięć wiader przepalonego oleju.

Gdy na krótko przed północą wlewałem do klasztornej studni ostatnie wiadro spalonego oleju, nie udało mi się odegnąć wspomnienia o święcie Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w 1938 roku, kiedy to z wycieczką ostrawskich dam i panien do Karlowych Warów, Franciszkowych łaźni i Mariańskich łaźni przywiozła mnie tutaj ze sobą mama Maria.

Klasztorny dziedziniec pachniał wtedy miodem, kadzidłem, świeżym pieczywem, cukierkami i prażonymi migdałami; przed wejściem do kościoła orkiestra dęta – wszyscy grajkowie w jakichś mundurach i w białych podkolanówkach mieli na rękawach opaski ze swastykami – grała rażno pobożne pieśni i melodie. Biali norbertanie podobni do białych aniołów przechadzali się pomiędzy pielgrzymami. Młody premonstratens spuszczał do studni zawieszona na łańcuchu starodawne wiadro, wyciągał je potem na górę napętnione chłodną, mieniącą się na słońcu jak kryształ wodą i za pięćdziesiąt halerzy nalewał ją pielgrzymom do butelek, termosów lub szklanek. Mama Maria dała mi koronę i tak mogłem dwa razy napić się z poświęconego źródła i ze studni, z której przed wiekami pił również błogostawiony Hroznata, założyciel klasztoru.

Między czterema flagami w barwach papieskich umieszczonymi nad głównym wejściem do klasztoru w Teplej wisały wtedy, w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny 1938 roku, dwie flagi ze swastykami; trzecia swastyka powiewała ze średniego okna między wieżami kościoła. Nie zwróciłem wtedy uwagi na tę przedziwną dekorację; przypomniałem sobie o niej dopiero po północy, czternaście lat później, kiedy z hydraulicznych cylindrów ogromnej mieszarki spuszczałem do wiader przepalony olej i wlewałem go do klasztornej studni, z której niegdyś piłem chłodną, czystą i pewnie święconą wodę.

Poplamiony od stóp do głów olejem, po północy, gdzieś pod koniec października 1952 roku skończyłem szychtę; noc była wietrzna, gdzieniegdzie popadywało. Żeby dostać się do baraków dla czarnych, musiałem przejść przez bramę klasztorną. Wartownik spał. Przed bramą, w cieniu jakiejś świętej rzeźby, spostrzegłem zarys zgarbionej postaci i przewróconego pod ciężarem skrzyni dwukołowego wózka.

– Żołnierzyku, proszę mi pomóc! Nie utrzymam tego wózka z górki, a na górę, na rynek w Teplej, sam go nie wciągnę.

Mężczyzna wyprostował się.

– Bóg panu za pomoc wynagrodzi!

Kilometr, a może i trochę więcej do Teplej i z powrotem, to co najmniej godzina; jeśli pomogę temu mężczyźnie z wózkiem, do łóżka dotrę najwcześniej o wpół do drugiej, a pobudka jest już o piątej. Chciałem go zapytać, ile mi Bóg zapłaci za godzinę, a jeśli nie zapłaci, czego się spodziewam, to jak i czym mi za pomoc wynagrodzi? Milczałem jednak. Oparłem się o tylną ścianę wózka.

W tym czasie mężczyzna zarzucił na siebie pasy wózka i ruszyliśmy.

Z górki, od klasztoru, w dół do rzeki i na most, musiałem trzymać dwukótkę ze wszystkich sił, żeby się nie rozpędziła i nie przewróciła na twarz mężczyzny trzymającego pasy. Zatrzymaliśmy się na mostku.

– Odpoczniemy sobie, żołnierzyku. Harówka dopiero przed nami!

Nie znosiłem, kiedy ktoś nazywał mnie żołnierzykiem. Po pierwsze, dlatego, że nie byłem prawdziwym żołnierzem, po drugie, ponieważ żołnierzek kojarzył mi się z jedną ciotką, która na mojej pierwszej przepustce w Pradze na przystanku U Bułgara, w tramwaju numer 20 przyczepiła się do mnie i zaszeptała mi do ucha:

– Żołnierzyku, nie poszedłbyś ze mną do mieszkanka, zaprosiłbym cię na kolację do domku.

– Co wiemy? Ładunek jest ciężki.

– Nie uwierzysz, żołnierzyku, jeśli ci powiem, że wiemy szczytki błogosławionego w 1898 roku Hroznaty, założyciela klasztoru w Teplej. Kupiłem je dziś w nocy za litr śliwowicy.

Gdyby mężczyzna odpowiedział, że w podłużnej skrzyni na dwukółce wiemy ukradzione gdzieś w okolicznym pegeerze zboże lub zwłoki zamordowanego przed kilkoma dniami w niedalekim Herzmanowie i nieodnalezionego do tej pory towarzysza wachmistrza Służby Bezpieczeństwa Karla Nedohlidka – mówiło się, że z powodu miłości do pięknej Aranki, córki cygańskiego barona Arpada Dzurka – lub część srebrnego skarbu, zakopanego rzekomo przez szkopów przed wycofaniem się do Rzeszy w lipcu 1945 roku w gospodarstwie rolnym w Kladrubach, powiedziałbym sobie, w porządku, historyjka jest logiczna, wpisuje się w krąg legend i bujdy, którymi nas, czarnych, karmili cywilni robotnicy pracujący przy przebudowie klasztoru. Nie zapytałbym go nawet, czy to zboże ukraść i dlaczego, albo czy nie uprzęta zwłok towarzysza wachmistrza, legendarnego kurwiarza, ale w sumie porządnego chłopca, i ile mu cygański baron Arpad Dzurko za tę robotę płaci, albo czy wiemy ładunek poniemieckiego srebra, które, jak się w okolicy szemrało, wiosną 1945 roku pod gnojownikami w swoim majątku w Kladrubach zakopał młody hrabia, kapitan Wehrmachtu w stanie spoczynku Richard von Trautmannsdorff, którego podczas zwycięskiej kampanii przeciwko Paryżowi w czerwcu 1942 roku w burdelu pod Verdun dopadł syfisy – od jesieni 1944 w fazie postępującej – ratując przed dalszą walką za nową Europę.

Gdyby dopadła nas bezpieka, rozmyślałem, za Boga Ojca nie wytkliby ze mnie zeznań, że wiedziałem cokolwiek o skradzionym zbożu, zwłokach wachmistrza bezpieki lub o poniemieckim srebrze. Ze spokojnym sumieniem, że naprawdę nic nie wiem,

mógłbym zeznać zgodnie z prawdą, że pomogłem nieznanemu mężczyźnie z dwukólką tylko z dobrej woli.

Ale kiedy nieznanomy powiedział mi, że w podłużnej skrzyni wieziemy na dwukołowym wózku ziemskie szczątki nieżyjącego od siedmiuset lat błogosławionego Hroznaty, myślałem, że to mi się tylko śni, że zmogło mnie zmęczenie przy mieszarce, że zasnąłem i że śni mi się teraz taki wariacki sen.

– Nie wierzysz mi, żołnierzyku?

– Nie. I proszę nie mówić do mnie żołnierzyku!

– A uwierzy mi pan, jak powiem, że jestem proboszczem w Teplej? Nazywam się Metody Cvetl.

Przedstawiłem się również, ale wybełkotałem coś w tym sensie, że nie mam, zwłaszcza teraz, kiedy wiem, że jest proboszczem, ani jednego powodu, żeby w tę jego bajkę o szczątkach błogosławionego Hroznaty, które kupił za litr śliwownicy, nie wierzyć, ale też, że jest mi w zasadzie wszystko jedno, co ciągniemy na górę do Teplej, że w dziedzinie absurdalnych wydarzeń, choć mam dopiero dwadzieścia dwa lata, mam już dość spore doświadczenie, i że wiem o nich nie tylko z literatury, lecz także z realnego życia tyle, że właściwie aż za dużo, że się jeszcze, proszę księdza, ksiądz by zdziwił, jakbym się księdzu zaczął spowiadać!

– Mnie, młodzieńcze, już nic nie zdziwi! Ale proszę nie myśleć, że pana grzechy są dla Pana Boga aż tak ważne, żeby się Wszchemogący już nie mógł doczekać, aż się pan z nich wypowiada.

Ksiądz Metody Cvetl ponownie opasał się podróżną sutanną, a ja zacząłem pchać i ruszyliśmy szosą wznoszącą się w kierunku Teplej.

Deszcz ustał, zerwał się wiatr, ostry i przyziemny; dzięki Bogu, wieje nam w plecy, powiedziałem, i pcha nas w górę.

Po kilku krokach, proboszcz zapytał mnie, czy chcę, skoro już jestem obeznany i biegły w absurdalnych wydarzeniach, zrozumieć historyczne, tak, historyczne znaczenie, na mą duszę nie przesadzam, naszych nocnych działań, usłyszeć historię założyciela klasztoru w Teplej, błogosławionego Hroznaty?

Proboszcz nie czekał na odpowiedź i głosem, który na nocnej ulicy wznoszącej się w górę w kierunku rynku brzmiał aż nazbyt głośno, opowiedział mi losy Hroznaty od stycznia 1950, kiedy to dowódca wojskowego zakładu krawieckiego, niemal rok od zajęcia klasztoru przez wojsko, niejaki towarzysz plutonowy Józef Utitz, Żyd konwertyta, niezbadane są wyroki Boże!, odkrył w klasztornym, zamkniętym już wtedy dla wiernych, kościele, po lewej stronie od głównego ołtarza, lśniąco złotem, niestety w rzeczywistości tylko miedzianą, pokrytą rzekomo klejnotami, skrzynię ze szczątkami błogosławionego, zamordowanego w 1217 roku przez raubritterów i mieszczan z Chebu, Hronzaty.

Towarzysz nadterminowy plutonowy Józef Utitz, wycuczony krawiec z Holeszowa, którego droga po 1945 roku, kiedy tylko on jeden z całej głęboko wierzącej rodziny żydowskiej powrócił z Oświęcimia do domu, zaprowadziła prosto do komunizmu, zataszczył rzekomo złotą skrzynię ozdobioną rzekomymi klejnotami do pomieszczenia obok

zakrystii, gdzie zamierzał w spokoju skrzynię obrabować, z tym że los – a może i sam Pan Bóg – miał względem towarzysza dowódcy wojskowego zakładu krawieckiego i w interesie ochrony trumny Hroznaty oraz jego błogosławionych szczątków inne zamiary: wkrótce po Bożym Narodzeniu 1950 roku nadterminowy plutonowy Utitz jeździł na łyżwach po zamarzniętym stawie przyklasztornym, lód był cienki, załamał się i towarzyszył się utopił. Jego zwłoki miejscowi strażacy znaleźli w wodzie dopiero w marcu. A skrzynia ze szczątkami błogosławionego Hroznaty pozostała tam, gdzie była, w pomieszczeniu obok zakrystii – tym samym towarzysz plutonowy Utitz właściwie niechcący ją uratował.

– Przecież nie może ksiądz tego wszystkiego wiedzieć!

– A czemu nie? Nie mogę zdradzić tajemnicy spowiedzi, mogę ci jednak powiedzieć, że obciążony grzechem towarzysz plutonowy Józef Utitz na krótko przed śmiercią przyszedł do mnie i wyśpiewał się. Dokładniej mówiąc, otworzył przed mną swoje serce, a to prawie jak spowiedź. Niezbadane są ścieżki i zamysły Boże. A mówią, że nie ma sprawiedliwości!

Proboszcz Metody Cvetl przerzucił pas z lewego na prawe ramię.

– Kiedy raubritterzy i rozbójnicy z Chebu napadli i uwięzili Hroznatę podczas jednej z jego licznych wędrówek misyjnych – rozgadał się – wysłali wiadomość do klasztoru, że wypuszczą go tylko wtedy, gdy norbertanie odmierzą tyle złota, ile wynosi waga Hroznaty, lub wydadzą im i przepiszą na nich cały majątek klasztoru. Zakonnicy oraz Hroznata odmówili i tak, skądinąd kiedy indziej dobrzy chrześcijanie, mieszkańcy wolnego królewskiego miasta Cheb, dorabiający sobie, kiedy przyszła bieda lub kiedy przepuścili całą miejską kasę, napadami i grabieżami, podjęli jednomyślnie decyzję, że po okrutnych torturach Hroznatę zamordują.

I tak martwego Hroznatę – w przeliczeniu na dzisiejsze kilogramy ważył ponoć niemal kwintala – norbertanie z Teplej musieli wykupić od rozbójników z Chebu, ponieważ już nie żył, tylko w srebrze, ale o tej samej wadze. Więcej niż siedemset lat później, dziś w nocy, to ja wykupiłem Hroznatę od zalanego porucznika wojsk pancernych, oficera bezpieczeństwa samodzielnej jednostki w klasztorze w Teplej, Józefa Drdy, za litr gorzałki. Sam pan widzi, jaki upadek obyczajów!

Proboszcz Metody Cvetl nawet na stromym wzniesieniu nie musiał nabierać tchu i rozgadał się o tym, jak porucznik Drda wślizgnął się w nocy do kościoła, jak wydłubał i powyrwał z rzekomo złotej skrzyni, gdzie w dębowej trumnie leżał błogosławiony Hroznata, wypolerowane kolorowe szkiełka, które podchmielony porucznik wojskowego kontrwywiadu wziął za prawdziwe rubiny, szmaragdy, opale lub ametysty.

Następnego wieczoru, czyli wczoraj, porucznik Józef Drda złożył ofertę, że kupę owiniętych w ręcznik rzekomych kamieni szlachetnych sprzeda Janowi Tomszikowi, starszemu kelnerowi w knajpie Jedność na placu towarzysza Józefa Stalina w Teplej. Jan Tomszik, dobry chrześcijanin, a zarazem doświadczony przygraniczny paser kradzionej biżuterii, złota, srebra oraz antyków, w mgnieniu oka zorientował się, że klejnoty są tylko kolorowym szkłem.

Jednak swoimi spostrzeżeniami na temat jakości oferowanego towaru nie podzielił się z wywiadowcą, tylko – stłumiwszy zaskoczenie i rozgoryczone zdziwienie – powiedział, że musi sprawę rozważyć, ponieważ tu chodzi o naprawdę wielką rzecz, i że chwilowo nie ma pieniędzy, i żeby towarzysz porucznik poczekał dwa, trzy dni.

Towarzysz porucznik, wywiadowca Józef Drda nie mógł jednak czekać, osiągnął finansowe dno, suszyło go, a do wypłaty było jeszcze daleko, dziesięć dni.

Na poczet przyszłego interesu zażądał zaliczki w postaci butelki jałowcówki i natychmiast też ją dostał.

Starszy kelner Jan Tomszik przybiegł bez tchu z wytrzeszczonymi oczyma na farę i opowiedział mi o interesie, który mu zaferował porucznik alkoholik, bo jasne dla niego było, że rzekome kamienie szlachetne pochodzą ze skrytki Hroznaty.

Zrozumieliśmy: błogostawiony Hroznata jest w niebezpieczeństwie!

Proboszcz przeżegnał się i podniosłem, nieco już cichszym głosem, bo zatrzymaliśmy się właśnie pod posterunkiem bezpieki, oznajmił, że w tym momencie oświecił go Duch Święty, i dlatego poprosił dobrego chrześcijanina Jana Tomszika, starszego kelnera i skądinąd słynnego na całe Czechy pasera, który – proboszcz Cvetl podniósł głos – te kamienie, gdyby były prawdziwe, z pewnością by kupił od porucznika alkoholika, towarzysza Józefa Drdy, ale gdy tylko zorientował się, że jemu, znanemu specjalście w sprawach biżuterii i kamieni szlachetnych wszelkiego rodzaju, ten pijaczyna oferuje kupno kolorowego szkła, poczuł się przez tego zalanego porucznika urażony do żywego, ruszyło go sumienie, nie mógł wybaczyć zhańbienia trumny błogostawionego Hroznaty, usłyszał w sobie głos Boży nakazujący mu natychmiast wypowiadać się z grzechu, któremu podległby, gdyby o grożącym Hroznacie niebezpieczeństwie mnie nie powiadomił i gdyby dobił targu w trefnym interesie z fałszywymi kamieniami.

– Synu – powiedziałem do Tomszika – twój czyn podobał się Bogu i Bóg ci tego nie zapomni, tylko musimy być ostrożni, żeby się sprawa nie wydała. Muszę się przyznać, że nawet nie tyle chodzi mi o tego ochlapusa, mimo że zhańbił on szczątki błogostawionego Hroznaty – ale to już z nim Wszchemogący sam załatwi – ile o uratowanie skrzyni. Idź, synu, z powrotem do knajpy i powiedz temu pijakowi, że kamieniami ze skrzyni Hroznaty, ale nie wyłącznie kamieniami, lecz przede wszystkim pośmiertnymi szczątkami Hroznaty, zainteresowany jest Kościół Święty i że jutro, późno w nocy, przyjdę pod bramę i uzgodnimy nie tylko cenę kamieni, lecz także, jak już powiedziałem, dobijemy targu co do błogostawionych szczątków.

Dziś rano Tomszik przekazał mi wiadomość, że dogadał się z porucznikiem Drdą, że ten pijus jest skłonny negocjować z Kościołem w sprawie kamieni i skrzynki, ale tylko pod warunkiem, że Tomszik w ramach zaliczki dostarczy mu jeszcze jedną butelkę jałowcówki, a jeszcze lepiej śliwownicy, ale jelinka, nie jakąś podróbkę, ponieważ jest splukany, a do żołądka zostało jeszcze dziesięć nieskończonej długich dni.

Porucznik Józef Drda dostał jednak od dobrego chrześcijanina Tomszika na drogę do domu tylko piwo, banię i dobrą radę, żeby następnego dnia, to jest dzisiaj,

koło dziesiątej wieczorem czekał pod bramą na wizytę dostojnika kościelnego i na wszelki wypadek przygotował do transportu skrzynię z błogosławionym Hroznatą.

Proboszcz Metody Cvetl przełożył popręg i ruszyliśmy w górę ulicy, w kierunku kościoła.

– Następnego dnia, to jest dzisiaj, kupiłem w Jedności dwie półlitrowki śliwownicy Jelinek i około dziesiątej wieczór wyruszyłem dwukótką w stronę bramy klasztornej. Porucznik Józef Drda już tam na mnie czekał. Za rzekomo prawdziwe kamienie szlachetne zażądał dziesięciu, a za rzekomo złotą skrzynię wraz z błogosławionymi szczątkami dwudziestu tysięcy.

Zaproponowałem porucznikowi dwie półlitrowki śliwownicy.

– Jaja pan sobie robi? Za klejnoty i złotą trumnę dwie półlitrowki śliwownicy?

– Klejnoty są ze szkła, a złota trumna jest miedziana. Nie interesuje mnie ani szkło, ani metalowa skrzynia, chcę tylko tę dębową, bezwartościową dla pana, trumnę ze szczątkami.

– Proszę się nie wygłupiać!

– Nie wygłupiam się. Jestem proboszczem. W lepszych czasach przy szczątkach błogosławionego Hroznaty celebrowałem msze święte.

– Dałby ksiądz za trumnę pięć butelek?

– Dałbym, ale nie mam.

Nie jestem zbyt biegły w dobijaniu targów i robieniu trefnych interesów, ale coś, chyba znowu Duch Święty, mówiło mi, że jestem w dobrej sytuacji. Przypomniałem sobie, co mi wczoraj wieczorem powiedział starszy kelner Tomszik: pijak, porucznik wojsk pancernych, wywiadowca Józef Drda, był na dziesięć dni przed żołdem splukany, w żadnej knajpie, jak okolica długa i szeroka, nie nalaliby mu nawet wody mineralnej.

– Niech ksiądz daje te dwie butelki i umowa stoi! Dostanie ksiądz dębową trumnę, miedziana skrzynia zostanie u nas. Może się kiedyś nada na skup metali kolorowych.

Dobiliśmy targu.

Dojechaliśmy z ciężko wyładowaną dwukótką do tylnego wejścia do zakrystii. Porucznik Drda pomógł mi wyciągnąć z miedzianej skrzyni podłużną dębową, małą wprawdzie, ale ciężką trumnę. Załadowaliśmy ją na wózek i kiedy przejeżdżaliśmy przez bramę klasztorną obok wartownika z karabinem i nałożonym bagnetem, porucznik wywiadowca warknął na wystraszonego i skonfundowanego starszego szeregowego, że ten niczego nie zauważył, nic nie widział, bo chodzi o tajemnicę wojskową, więc niech trzyma głowę na kłódkę, ale jeśli będzie znowu potrzebował przepustki na małe ruchanko z księgową Olinką z pegeeru w Mrazowie, to niech się zgłosi.

Towarzysz Drda pomógł mi dopchnąć dwukótkę aż pod rzeźbę świętego naprzeciwko bramy i zniknął. Potem pan się pojawił. Chyba sam anioł stróż mi pana postął.

Chwilę po pierwszej wnieśliśmy dębową trumnę ze szczątkami błogosławionego Hroznaty do kościoła farnego w Teplej i położyliśmy ją w bocznym ołtarzu, po lewej stronie od ołtarza głównego.

Proboszcz Metody Cvetl zapalił osiem świec, cztery po lewej i cztery po prawej stronie dębowej trumny; na najwyższym stopniu przed ołtarzem jakiegoś świętego wydawała mi się jeszcze mniejsza niż na dwukółce.

Duchowny ukląkł przed trumną, a ponieważ nie wiedziałem, co mam zrobić – a odejść bez pożegnania nie chciałem, nawet mimo tego, że czekał mnie jeszcze półgodzinny nocny marsz z powrotem do klasztoru – uklęknąłem również, ale o stopień niżej niż on.

Proboszcz zaczął modlić się na głos.

Zaczął od „Wierzę w Boga”.

Z początku milczałem, bo nie znam „Wierzę w Boga”.

Od „umęczon pod Ponckim Piłatem” chyba Duch Święty mnie oświecił, przypomniałem sobie babcię Franciszkę w kościele w Hoszczalkowicach, więc dołączyłem się, ale gdzieś tam musiałem powtarzać słowa proboszcza z opóźnieniem.

„Ojczy nasz” nie zapomniałem, a podczas „Zdrowaś Mario” celowo milczałem. Przypomniała mi się babcia Franciszka Filipowa, która mnie, jak miałem osiem lat, nauczyła „Zdrowaś Mario”. Wstydiłem się od razu podwójnie, raz dlatego, że zapomniałem część tej krótkiej modlitwy, a dwa, że wiedziałem, że przy słowach „...Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej...” dopadnie mnie taki sam strach, jak przed czterem laty, kiedy jako nieochrzczony ośmiolatek w hoszczalkowickim kościele szybko odklepywałem, żeby skrócić strach przed śmiercią.

Proboszcz Metody Cvetl położył rękę na moim ramieniu, przycisnął trochę, żebym nie mógł wstać.

– Pan nie jest katolikiem?

– Nie, nie jestem.

– Ale modlił się pan.

– Staralem się.

– Byłoby mi miło, gdyby się pan mógł teraz wyświadczyć. Ma pan dużo grzechów?

– Więcej niż dość. Ale ze spowiedzi nic nie będzie. Nawet nie jestem ochrzczony.

Proboszcz ukląkł tak blisko, że jego ramię dotykało mojego.

– Pomódlmy się do błogosławionego Hroznaty. Pomógł mi go pan uratować. Pomódlmy się, żeby się wstawił u Boga za odpuszczenie pana grzechów, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej tych, które ciążą panu najbardziej.

Proboszcz zaczął improwizować modlitwę w krótkich zdaniach, tak żebym mógł błędnie powtarzać.

Modlił się za starszego kelnera Jana Tomszika, za alkoholika porucznika wojskowych służby informacyjnych Józefa Drdę, aby im Wszechmogący odpuścił grzechy, a na koniec objął swoją modlitwą również mnie, nieochrzczonego poganina, i prosił Boga, żeby za pomoc w uratowaniu szczątków błogosławionego Hroznaty odpuścił mi grzechy, jeśli nie wszystkie, to przynajmniej te najgorsze.



Powtarzałem słowa proboszcza i myślałem o chwilach, kiedy zawiodłem, o swoich winach wobec bliźnich, i w tym momencie załamał mi się głos, ale byłem szczęśliwy, że mogę się wyplakać przed Hroznatą.

Przez następne pięć, sześć dni, nie bywałem na dłużej w Teplej, ale każdego wieczora wyprawiałem się do kościoła farnego w Teplej do Hroznaty.

Wyspowiadałem się błogostawionemu ze swoich grzechów, pobeczałem się, nie ulżyło mi, ale nie chodziło o ulgę.

Czterdzieści lat później, w 1992 lub 1993 roku, dowiedziałem się od miejscowego proboszcza w Teplej Franciszka Kolendy, jak potoczyły się dalsze losy błogostawionego Hroznaty: premonstratensi, ci, którzy nie byli zamknięci, przez niemal czterdzieści lat chodzili w sekrecie do kościoła w Teplej modlić się do Hroznaty. Pewna zakonnica opowiedziała proboszczowi Franciszkowi Kolandzie niemal cudowną historię:

W latach 70. był oficer, który w latach 50. służył w klasztorze w Teplej, przywiózł i podarował jej niezbyt zniszczoną miedzianą skrzynię, w której od 1898 roku spoczywał błogostawiony Hroznata, i poprosił, żeby się siostra zakonna za niego i odpuszczenie jego grzechów modliła. Kiedy zakonnica zapytała go o nazwisko, podobno tylko niepewnie wybełkotał najpierw dwie sylaby, które brzmiały jak Drda, i dodał potem jeszcze dwie, których jednak siostra zakonna nie pamiętała.

Następnego dnia po bezsennej nocy pod koniec października lub na początku listopada 1952 roku, kiedy to z proboszczem Metodym Cvetlem wiozłem błogostawionego Hroznatę w nocy z klasztoru w Teplej do kościoła miejskiego, starszy sierżant Kreczmar wziął mnie na stronę, wręczył łopatę i powiedział, że żeby przeszły mi ciągoty do włóczenia się po nocach z reakcyjnymi klechami i do łożenia do kościoła na kolanach, przydziała mnie do obsługi mieszarce. Przez dwa dni starałem się wytrzymać przy nienasyconej mieszarce i przecierpieć wysokie tempo pracy. Na trzeci dzień starszy sierżant Kreczmar uznał, że się staram, ale że nie mam kondycji fizycznej i że byłbym tylko ciężarem dla jednostki przy realizacji planu. Wieczorem wręczył mi rozkaz wyjazdu do samodzielnej jednostki 59. Batalionu Pomocniczo-Technicznego w Karlowych Warach. Słamsiłem w sobie oznaki radosnego oczekiwania: Karlowe Wary! Może znowu będą teatry, koncerty! Błogostawiony Hroznata zlitował się nade mną.

**Wyłącznie dla czasopisma „Protimluv” autor udostępnił fragment rozdziału biograficznej powieści pod tytułem *Osmý čili ještě nedokončený životopis*, opublikowanej przez wydawnictwo HOST w Brnie, a w języku niemieckim przez wydawnictwo Langen-Müller-Herbig w Monachium.**



František Kowolowski, *Intervence Zemkoule*